

Stadionowe pocieszenia

Krzysztof Gottesman



Rys. A. Szafrński

Skończyły się niedawno mistrzostwa świata w piłce nożnej, na horyzoncie są europejskie w lekkiej atletyce. Patrząc na te imprezy wyłącznie pod kątem pięknych bramek, szybkich biegów i dalekich rzutów, i to nie tylko z powodu nieobecności w Brazylii naszych piłkarzy. Choć i dziś sportowa rywalizacja polsko-rosyjska ma swój smaczek, to daleko jej do czasów, gdy każde zawody sportowe miały dla milionów Polaków spory ładunek polityczny, wręcz patriotyczny, były rekompensatą za brak wolności i suwerenności. Szczególnie, gdy biliśmy Ruskich.

Nie było mnie na świecie, gdy w 1953 roku, osiem lat po zakończeniu wygranej-przegranej wojny, w zrzuconej Warszawie w Hali Gwardii, polscy bokserzy zdobyli pięć złotych medali, bijąc w finałach – tak jak Stefaniuk, Kruża i Chychła – również reprezentantów Związku Radzieckiego. Wiem jednak z opowieści starszych, jak ważne to było wydarzenie, jaką radość i satysfakcję pięściarze dawali umęczonym Polakom upokorzonym sowieckim komunizmem. Tym większą, gdy ci nazajutrz musieli w polskich gazetach – z „Przeglądem Sportowym” na czele – czytać o wielkim zwycięstwie radzieckiej szkoły boksu. Choć przez chwilę w tej ciasnej i zadmionej Hali Gwardii przeżywali radość i rekompensatę.

Nie widziałem też meczu Polska – Związek Radziecki na Stadionie Śląskim w 1957 roku. Były to eliminacje do mistrzostw świata. W sumie je przegraliśmy, ale wcześniej był właśnie ten mecz. Dwie bramki Cieślaka i zwycięstwo 2:1. Sto tysięcy ludzi kilka razy śpiewało Mazurka Dąbrowskiego. Dopiero co był Październik '56, tysiące osób wyszły z więzień, wciąż były żywe nadzieje, że nawet „ten” socjalizm może mieć ludzką twarz, jeszcze popularny był Gomułka, który się postawił Sowietom. Przyjemnie było więc przeżywać ów tryumf na Stadionie Śląskim.

Wyścig Pokoju – impreza z założenia jego twórców mająca być braterskim wyścigiem kolarskim, rozgrywanym na szosach między Warszawą, Pragą i Berlinem. W rzeczywistości, oprócz propagandowej lipy, aż kipiało – przynajmniej w Polsce i dla Polaków – od politycznych namietności, szczególnie wobec drużyny radzieckiej. Trzeba otwarcie przyznać, że byli w ZSRR, nie tylko w kolarstwie, sportowcy wybitni, którzy zasłużenie wygrywali ze wszystkimi na świecie. Ale w konfrontacjach polsko-sowieckich to nie miało znaczenia, najbardziej liczył się polityczny podtekst. I jeszcze coś raziło nie tylko kibiców. Wy-

jatkowo lizusowska postawa mediów. Szlag ludzi trafiał, gdy słuchali i czytali – tak jak po tych mistrzostwach w boksie – jacy to wspaniali są sportowcy z Kraju Rad, nasi też są może dobrzy, ale tamci to dopiero mistrzowie. Nie zapomnę rozmowy, którą po jednym z etapów Wyścigu Pokoju przeprowadził dziennikarz telewizyjny ze Stanisławem Szozdą – najlepszym obok Szurkowskiego polskim kolarzem lat siedemdziesiątych. Szozda ścigał się wtedy z Lichaczowem z ZSRR, który bardzo często postępował nie fair. Zajeżdżał drogę, nie dawał zmian itd. – No, i jak się jechało, panie Stanisławie? – zapytał beztrzesko dziennikarz po etapie, który Lichaczow wygrał z Szozdą, stosując swoje zagrywki, co wszyscy widzieli, a cały stadion gwizdał z oburzenia. – Albo jesteście sportowcami, albo bandytami – odparł Szozda. Tu dziennikarz zaczął machać rękami, zakrywać mikrofon. – Jest pan na pewno bardzo zdenerwowany, panie Staszku – próbował łagodzić i nie pozwolił już powiedzieć słowa polskiemu kolarzowi.

Było jeszcze wiele meczów i zawodów, podczas których sportowcy mieli na swoich barkach coś więcej niż tylko wynik sportowej rywalizacji. Nie zapomnę szalu radości, gdy w 1976 roku na hokejowych mistrzostwach świata w katowickim Spodku dokonaliśmy rzeczy niemożliwej. Pokonaliśmy Sborną 6:4. To coś więcej niżby dzisiaj na mundialu wygrać z Brazylią, Niemcami i Holandią. Znowu, nic nam to nie dało, resztę meczy przegraliśmy i spadliśmy z grupy, ale to już nie miało znaczenia.

No, i Gest Kozakiewicza z 1980 roku. Specjalnie pisany wielką literą, bo stał się symbolem zanotowanym w poważnych słownikach i popularnych alfabetych. Bo został pokazany w Moskwie podczas igrzysk olimpijskich na stadionie im. Lenina przez zwycięskiego polskiego sportowca gwizdzącej sowieckiej publiczności. W społecznej świadomości zawierał w sobie – i być może zawiera do dziś

– odpowiedź na to wszystko, co się nazywało przez dziesięciolecia w relacjach polsko-sowieckich.

Listę tę można by ciągnąć długo. Właściwie każde zawody z udziałem polskich i radzieckich sportowców miały podtekst historyczno-polityczny. Podporządkowani Moskwie na co dzień, niemający innych możliwości wyrażenia swoich poglądów, szukaliśmy pocieszenia, gwizdząc na stadionach. I przez chwilę je znajdowaliśmy.

A sportowcy? Jak oni się odnajdywali w tych rolach? Nie ma – jak wszystko, co dotyczy postaw w PRL – jednej odpowiedzi. Czesi mieli Věre Čáslavską i Emila Zátopka, którzy otwarcie poparli Praską Wiosnę i wystąpili przeciw sowieckiej agresji w sierpniu 1968 roku. Nasi sportowcy, choć świadomi zapewne roli, którą odgrywali w rywalizacji ze sportowcami ze Związku Radzieckiego i mający ze zwycięstw podwójną satysfakcję, nie decydowali się na otwarty sprzeciw. Poddani presji i inwigilacji bezpieki, wiedzieli, czym to grozi. Nawet w siermiężnej PRL życie sportowca zdecydowanie na korzyść różniło się od średniej krajowej. Dodatkowo zagraniczne wyjazdy dawały możliwości tak zwanego kombinowania, wykorzystywania niebotycznie wysokiego kursu dolara w stosunku do złotego. Stąd prawdopodobnie wiele gestów politycznego konformizmu, jak choćby wypowiedź Jacka Gmocha, który podkreślił, że rozgrywanie meczu, chyba z Danią w 1977 roku, właśnie 1 maja ma dla niego i dla drużyny dodatkowo motywujące znaczenie. Stąd też obecność sportowców w rozmaitych komitetach i nawet w sejmie. Akty protestu, niezgody na rzeczywistość najczęściej dokonywały się przez „wybieranie wolności”, pozostanie na Zachodzie podczas zawodów. Takiego wyboru dokonało wielu piłkarzy, Kozakiewicz i inni, którzy chcieli po prostu normalnie żyć – normalnie, czyli bez ideologicznego gorsetu i zakłamania, a także dostawać takie same pieniądze jak ich koledzy na Zachodzie. 🍷

Krzysztof Gottesman – dziennikarz, publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN